

Brak gwarancji miejsca (2829102022-13012023)

IC 6502 Heweliusz do Gdańska (wyjazd 12³⁹⁺¹²) nie ma szczęścia albo też ma go nadmiar (zależy). Jedzie w piątek, który, jak zawsze, zwiastuje weekend (gwarancja tłoku), ten weekend jest weekendem długim (większy tłok), a jego długość jest funkcją święta (napiecie rośnie), gdy co drugi Polak stwierdza, że powinien być gdzie indziej, wszak świętuje dzień wolny, ofiarowany mu przez jego zmarłych (tada!), więc gdyby przypomniał sobie o nich w jakikolwiek inny dzień, ba, gdyby nawet o nich nie zapominał, ale świece tego dnia na grobie tychże samych wszystkich jego drogich zakopanych by nie dał, byłby cymbał nijak brzmiący, w oczach bliźnich zadumanych nad ww. spoczynkami wiecznymi po prostu cham i duchowy parweniusz. Wszystkich Świętych, wszystkich w ruchu. 1 listopada to nasz narodowy test możliwości logistycznych. Migrujemy jak ptaki na zimę. Stadnie.

W skrócie: ścisk rozcina ściany, a biletu kupić było niepodobna. Heweliusza to (nie) rusza, ale że ja w nim, to szczęścia nie mam i ja.

Niepodobieństwo nie jest przesadą. Nadmierną przesadą. Dokonałem nawet próby, ale strona rzekła, że zaciężała od nadmiaru użytkowniczej miłości, że ma wolę, lecz kondycję nie najlepszą i możemy spróbować ponownie, jak już odetchnie, a jak mi zależy, to poleca aplikację. Smartfonowa aplikacja z kolei nawet nie pisnęła, że cierpiała na jakieś niedogody, nie zająknęła się o przesyce atencją kupujących; nie zająknęła, bo się mną nie przejęła, nie zaczęła – biletu nie sprzedawała. Nie zrobiła nic, czyli nic zrobiła (o ho ho negacje, oj negacje). Pomimo miłości do papierowych artefaktów (→ o biletach) stanie w kolejce sprawia, że czuję się jak członek grupy rekonstrukcyjnej (inscenizujemy minioną epokę), a te za bardzo kojarzą mi się ze swastykami (grupy rekonstrukcyjne, nie kolejki), abym chciał w nich przebywać (mocą uogólnienia: i w grupach, i w kolejkach). Woląłem w nocy głębokiej odświeżyć wreszcie stronę skutecznie, ale jak bilet w końcu kupiłem, to oczywiście „bez gwarancji miejsca”.

Nie było wyjścia. Ledwo się pociąg zatrzymał, by mnie wchłonąć, lokciami dałem subtelne sygnały przyszłym współpasażerom, że przy drzwiach do warsu pierwszy w kolejce będę ja, tam postanowiłem bowiem spędzić podróż. Traktat o kuchni kolejowej jest gdzie indziej (→ ostateczna recenzja warsu dzieł wszystkich), tu muszę odnotować głęboką konfuzję, że błyskotliwy plan został chyba podsłuchany przez ściany czaszki mojej i wars też prawie pełen. Wyluskałem w końcu z wagonowego strąka krzesieleczko, lecz okazuje się, że to nie koniec trybulacji.

Wagonem rządzi herszt-bufetowa, szefowa-szeryfowa, która porządkuje rzeczywistość podług wyraźnych zasad, z których pierwsza i fundamentalna: wagon to przeznaczony do konsumpcji, nie podróży, nie będziesz więc wgniatał siedzeń bez dopaszczowego ruchu widelca, kawa zaś winna być pita łykami zdecydowanymi i rytmicznymi. Drobne niedoskonałości ladu nie przeszkadzają szefowej: wesola że hej trójka mężczyzn, pod którymi zaraz barowe stolki zaczną falować (jeszcze nie ma trzynastej), zamawia kolejne piwko (konsumują, więc mogą), niemowlę przekrzykuje wspomnianą trójkę (matka konsumuje, więc niemowlę ma pełne prawo pełnego głosu), a polifonię dopełnia telefoniczny głośnik odtwarzający film do kotleta (coś człowiek musi robić przy konsumpcji). Gdybym jeszcze nie był okazjonalnym mizantropem, to bym właśnie nim został. Są też regulacje mniejszej wagi – proszę założyć buty z powrotem, przecież tutaj podaje się jedzenie, przebrać może pani buty w toalecie (pytanie, czy rzecz byłaby dozwolona, gdyby ktoś zdjął buty w celu konsumpcji stopami, nie padło) – ale prawo naczelne, jako się rzekło, jest jedno: kto nie je z nami, ten przeciwko nam, więc go wykluczymy, wyrzucimy, uczynimy pariasem korytarzy.

Najbliżej do Świecia.

Pośrodku stawu wielkości szkolnego boiska samotny rybak stoi w łódeczkowej łupinie.

Jest piętnasta.

Wszyscy jedzą w warsie, jem i ja. Jem i piję. Piję i jem. Koszt biletu podwajam, ale miejsca drugiemu nie odstąpię; nie tylko z neofickiej mizantropii, ale z faktu, że nie mam wszak gwarancji miejsca, a nawet więcej, mam jej brak (oj te negacje). Nie rzucę stolka, karmię brzuch, tak mi dopomóż dług. Podróż do Gdańska jest nie najkrótsza i już po dwugodzinnej konsumpcji pod okiem szeryfowej wszystko zaczyna pęcznieć. Od środka. Pęcznieć.

Również i *brak gwarancji miejsca* zaczyna pracować, bulgotać, fermentować, trawić się, wypełniać wyobraźnię, urastać do rangi formuły wyjaśniającej, figury egzystencjalnej, narracji historiozoficznej, reguły świata¹. Czyż nie był to ostatecznie los mego kraju porozbieranego przez

¹ Postanowiłem nie ukrywać, że miejsce tego tekstu jest od razu podwójnie podwojone.

Skoro *chodzi o oddanie (w tym miejscu) sprawiedliwości miejscu*, muszę zaznaczyć, że myślę ten tekst w uwikłaniu, które tyleż determinuje jego kształt ostateczny (być może również poza granicą mojej świadomości), co jest miarą jego ograniczenia: fragment pod tytułem „Brak gwarancji miejsca” pączkuje jako efekt myślenia o większej całości, dla której impulsem są pociągowe mikropodróże (→ prozy pociągowe), ale jednocześnie jest odpowiedzią na udział w konferencji pisarskiej „Home/land/s” (listopad 2022). Jeśli trafi ostatecznie w takim kształcie do większej całości, potraktuję to jako spłacenie długu, który zaciągnąłem wobec organizatorów konferencji z The International Writing Program przy University of Iowa – będę myślał o nim wówczas jako o

formie wdzięczności za zaoferowanie mi na niej miejsca. Żeby jednak teraz pisać, muszę myśleć ten fragment jako synekdochę, jako autonomizującą się jednostkę, poza horyzontem całości czy też pomimo niego. To pierwszy wymiar podwojenia: całość i część. Całość musi zgodzić się oddać część siebie na rzecz usamodzielniającej się części, część nie chce porzucać pamięci o całości (jest to dla niej sprawą odpowiedzialności).

Drugie podwojenie wiąże się z ramą językową: piszę po polsku, językiem docelowym tego tekstu jest angielszczyzna. Po rozmowach, konsultacjach (dziękuję Nataśo!) i wewnętrznych audytach okazało się, że raczej nie może być inaczej – moim miejscem jest polszczyzna, bo mieszkam w polskim mieście (→ Brak gwarancji miejsca: πολις). *Chodź przeciwieństwo o oddanie sprawiedliwości miejsca w języku*, a wybierając angielszczyznę, mógłbym jedynie pisać w niemojej idiomatyce o moim idiomie. Ile byłoby w takiej decyzji gestu autokolonizacji? Horyzont przyszłego przekładu kształtuje jednak myślenie o tym, co teraz chcę powiedzieć (być może również poza granicą mojej świadomości). Więc jeszcze inaczej: staram się zaznaczyć fakt, że fraza „brak gwarancji miejsca” może w pełni pracować tylko w polszczyźnie (w tym sensie gwarancją jej trafności jest brak gwarancji trafnej angielszczyzny, która mogłaby ją ponieść), ale praca ta może w pełni ukazać się tylko za pomocą tego co jej (zarówno frazie, jak i polszczyźnie) obce – za pomocą perspektywy innego języka. Dlatego przekład jest zawsze koniecznością. Dlatego również przekład jest koniecznością.

This is also why I need to write the following paragraph originally in English, to contaminate the sterility of my discourse. MIEJSCE has no proper place (MIEJSCE in Polish) in English. This is the reason why in this text it becomes a certain certain (doubling intended) proper name for the incertitude of proper MIEJSCE (*idem per idem* intended). MIEJSCE does not share with English any clearly defined space (MIEJSCE in Polish); for instance, it does not have only spatial qualities although they dominate. MIEJSCE is 1) a place, 2) a space, 3) a point, 4) a spot, 5) a locus, 6) room, 7) a venue; but it can also mean 8) a job. MIEJSCE indicated in a text becomes 9) a passage. I leave the 10th meaning open, I leave some space. In fact, a trustworthy PL-US dictionary lists 11) a seat (the initial meaning in the eponymous phrase) not earlier than at the entry's 11th position (position, MIEJSCE in Polish).

Owo podwojone podwojenie: ciągle negocjowanie z nieobecną całością (co jest jednocześnie cechą każdego pisania, które odbywa się w logice fragmentu) oraz nieredukowalna perspektywa wyjścia poza własny język (nieredukowalna a jednocześnie odwlekana dopóty, dopóki piszę), sprawia, że tekst o frazie „brak gwarancji miejsca” sam przestaje *mieścić się*, jest pisany w funkcji swojego prze-mieszcz-e-nia (*dis-place-ment*).

lat 123? A czy nie jest tak, że po owym raz-dwa-trzy (mnemotechnika lat), raz-dwa (że szybko) znów wszystko stało się zagrożone?

Ale tę opowieść muszę snuć już w inny sposób.

== || == οίκος == || ==

Jedna z wersji tego, co staram się tutaj powiedzieć, mogłaby brzmieć tak: miejsce stało się prekarne.

Prekarność łatwiej i lepiej funkcjonuje jako kategoria socjoekonomiczna, ludzka. Miałyby być szczególnym stanem tych osób, które nieustannie doświadczają utraty szeregu gwarancji na rynku pracy – rozumianej nie tylko jako posada (jak wtedy, gdy mówimy o „miejscu pracy”), ale także choćby jako zatrudnienie („mieć pracę”) i jako działanie, wykonywana czynność („cały dzień wypełniła mi praca”). Teza o braku gwarancji miejsca nie jest nieludzka (w tym sensie, że nie odwraca się od człowieka; wręcz przeciwnie), ale jednocześnie chce przekroczyć to, co ludzkie (choćby w kierunku czegoś bardziej fundamentalnego, ziemskiego, ziemnego; o czym później). Do pewnego stopnia przekładam zatem to, co społeczne, na to, co spacjalne.

Ale pisząc o przestrzeni, muszę zaznaczyć też czas, w którym to robię, gdyż jest on tutaj być może rozstrzygający (być może czas jest zawsze rozstrzygający → o spóźnieniach). Gdy notuję te słowa jest przełom lat 2022 i 2023 – od ponad trzystu dni mój telefon parę razy dziennie wyświetla powiadomienia o przebiegu wojny w Ukrainie.

Nie mogę, nie umiem i nie chcę napisać, *czym jest* wojna dla współczesnej Europy i poza nią. Nie jestem dziennikarzem, żeby czuć zobowiązanie objaśniania świata w aktualnej postaci, a

Da się to wyrazić również prościej: istnieje ryzyko, że tekst o braku gwarancji miejsca sam wystawi się na brak gwarancji miejsca dla siebie samego (czyli zrozumienia, możliwości czytelnika, sensu). To nie jest ryzyko, o którym mógłbym buńczucznie powiedzieć „jestem gotów je ponieść” (ryzyko jako szansa). Wcale nie jestem pewien, że jestem. W większym stopniu raczej nie umiem go uniknąć (ryzyko jako efekt braku umiejętności), jeśli pisanie ma dla mnie samego coś znaczyć.

Ma zatem dla mnie znaczenie, że tytuły poszczególnych fragmentów zapisane są alfabetem greckim. To nie jest cze popisywanie się (ale odrobinę?). Gdyby jednak ich los zależał od transkrypcji, podaję ją tutaj w kolejności w jakiej się zjawiają: oikos, gaia, topoi koinoi, kosmos, polis, nostos, strofe.

jakikolwiek dystans wobec trwających wydarzeń, których na dodatek nie jestem uczestnikiem, wydaje mi się *nie na miejscu*. Uważam, że twierdzenie o braku gwarancji miejsca jest nieredukowalnie związane z wojną w Ukrainie, ale gdybym miał pisać o niej, musiałbym dojść do stwierdzenia, że *inter arma silent Musae* – nic ponad to, a tego wołałbym nie. Nie umiem, nie mogę i nie chcę twierdzić, że jestem w stanie odnieść się do zdarzenia, które miało się już nigdy w Europie nie wydarzyć (konwencjonalnego, wielkoskalowego konfliktu zbrojnego, w którym ginie choć jeden człowiek, co dopiero tysiące ludzi, dziesiątki tysięcy). Ale mogę napisać o odczuciu wydarzenia niewydarzalnego. Miara tego odczucia jest lęk.

Należę do pokolenia, dla którego kres PRL oznaczał kres najwcześniejszej fazy dzieciństwa, a próg dorosłości był sygnowany wstąpieniem do Unii Europejskiej. Zwrot wektora zmian wskazywał pierwszy język obcy nauczany w szkołach: w pokoleniu rodziców rosyjski, w naszym – angielski. Kierunek był jasny: *go West*, ku współpracującej wspólnotce. Wojna była w opowieściach dziadków.

Fakt posiadania książeczki wojskowej przynależał do tego samego folkloru, co zasuszona w niej czterolistna koniczyna (która miała chronić przed poborem), bo i tak wszyscy dostawali odroczenie służby ze względu na naukę. Przez wiele lat najgroźniejszą bronią, jaką trzymałem w dłoniach, była zrobiona z gałęzi proca (dopiero dużo później łuk). Cokolwiek podobnego do quasiszkolenia psuedowojskowego, odbywało się w liceum na równie absurdalnych co sama nazwa przedmiotu lekcjach przysposobienia obronnego. To na nich nauczyciel, były wojskowy („Dopuszczalne pseudo: Jabzo, zrozumiano?” „Tak jest!”) stawał przed bandą chuderlawych

Przy Słonicach
zużyte podkłady
kolejowe ułożone
w żałobne stopy.

Które nie zapłoną.

przyszłych informatyków (tyczkowatych w sposób młodociany, ale ze starymi wadami postawy od gremlinowatego ślęczenia nad klawiaturą) i tłumaczył funkcje kombinezonu ochronnego OP-1 oraz sposób posługiwania się nim. On opowiadał, a my mieliśmy animować w wyobraźni (najlepiej w trzech wymiarach) poszczególne elementy narysowane w podręczniku tak długo, aż wreszcie ułożą się w pełen

kombinezon na sąsiedniej stronie. Fizycznego egzemplarza szkoła nie miała ani jednego. Po takiej lekcji byliśmy równie przysposobieni do obrony siebie przy pomocy OP-1, jak po obejrzeniu meczu filozofów w wersji Monty Pythona do obrony bramki na boisku. 45 minut w tygodniu, przez jeden rok szkolny albo może i dwa. Nawet tego nie pamiętam. Jedyne, co pamiętam z mądrości Jabza, to wielokrotne próby zbudowania iluzji przydatności jego przedmiotu na podstawie ciągle tego samego argumentu z autorskiej apokaliptycznej historiozofii: pamiętajcie, że życie w czasach najdłuższego historycznie pokoju w Polsce – statystyka jest przeciwko wam.

Nie da się ukryć, że efekt Lindy’ego był wtedy teorią mniej chwytliwą niż dzisiaj, ale nawet nie próbowaliśmy szukać kontrargumentów. Po prostu Jabzo brzmiał w naszych uszach, jakby się nagle nauczył klingońskiego albo pobierał lekcje Czarnej Mowy u Morgotha (dwie aluzje, które tyczkowaci informatycy rozumieli; być może jedyne dwie) – jego język przesycony był wojennymi słowami, brzmiał szorstko, celowo brutalnie i niewiarygodnie.

Ponad dwie dekady później nadal trwa najdłuższy w historii Polski okres pokoju, ale maszynaria myślowa zbudowana na przekonaniu, że taka jest dziejowa konieczność, wysyła coraz słabsze sygnały. Lęk się przede wszystkim słyszy. Znajomy mówi, że ma siatkę, w której z partnerem trzymają paszporty, pieniądze, leki i świadectwa szczepienia psów – tak jakby co gdyby. Inny przywołuje obrzędowy lejtmotyw, że gwarancje bezpieczeństwa są niezawodne do momentu, gdy się ich nie wystawi na próbę (sięgnięcie w tym momencie po przykład gwarancji Polski w 1939 jest prawdziwym *argumentum ad Hitlerum*). Smartfonowy wartki strumień rytmicznie projektuje lęk, że niebezpieczeństwo w takiej lub innej postaci (wojennych prowokacji, zbłąkanych rakiet, otwartego konfliktu) przekroczy granice i zagrozi mojemu-twojemu-naszemu miejscu.

Na razie wszyscy znamy tych, którzy miejsce stracili. Nie da się dłużej udawać, że kryzys migracyjny w Europie nie dotyczy Polski. Wojenna migracja z Ukrainy zwiększyła populację mojego kraju o parę (w zależności od badań) procent.

Dawno nie korzystałem z papierowych map, więc kolejność skojarzeń jest taka: krzyżyk na mapie to miejsce ukrycia skarbu, adres, pod który chcemy dotrzeć albo do którego mamy wrócić (jak do hotelu w nowym mieście).

Gdy I., chce pokazać, z której dokładnie wsi pod Kijowem uciekli wraz z rodziną (którą wraz z I. poznają ponad 1100 km później), krzyżyki na jego mapie oznaczają miejsca, które musieli omijać, ponieważ trwały tam walki. Dużo tych krzyżyków. Blisko jego palca.

Nie chcę, nie umiem. Mogę jedynie z pokorą słuchać i uczyć się, że pomimo wskazującego palca (oznaczającego „o tu”), bycie uchodźcą to apofatyka miejsca (to bycie nie-tu).

Mokrz

Ślady. Po wycince lasu.

Bierzwnik

Ślady. Po wycince lasu.

== | == γαα == | ==

Rębusz
(*nomen omen*)

Ślady. Po wycince lasu.

Stary Klukom

Jest ciemno.
Widać nic.

Niedawna eskalacja trwającej od 2014 roku wojny sprawia, że budzą się też uspione lęki, których znać nie mogę, ale bardzo dobrze rozpoznaję je dzięki ich reprezentacji w kulturze – to zimnowojenne strachy przed zagładą atomową. I znów smartfonowy strumień wiadomości spadający niekiedy wodospadem, od którego mogę się oddalić, ale którego huku nie mogę powstrzymać i głosy tych samych znajomych brzmią zgodnie w wariacjach z powtórzeniem, w nakładających się na siebie głosach, tworząc fugato zgiełku codzienności (fugato pochodzi od łac. *fugere*, uciekać). Na wszelakie sposoby odmieniane są: sytuacja w Zaporoskiej Elektrowni Atomowej, ryzyko użycia taktycznej broni jądrowej albo – najmniej prawdopodobny a brzmiący najsilniej zimnowojennie – otwarty konflikt nuklearny. Elektrownia w Zaporozżu jest największa w Europie. Rosja, włączając ją w strefę działań wojennych, nie tyle igra z ogniem, co gra nią (udaje że gra?) w jengę – do pierwszego błędu.

Analogia z grami jest również powodem, dla którego widmo nuklearnego holokaustu jest dla mnie w wiecznym odroczeniu. Moją pierwszą lekcją logiki konfliktu atomowego były *Gry wojenne* (*WarGames*), film z 1983 roku. Może to niezbyt wiarygodne źródło, ale to z niego czerpię przekonanie, że jeśli tylko mamy ochronić jakąkolwiek możliwość sensu (czyli działać wewnątrz ustalonych reguł) nuklearny miecz może wisieć nad głową na włosie szaleńca, ale nie może opaść. „Dziwna gra – jedyne zwycięskie posunięcie to nie grać” stwierdza Joshua, sztuczna inteligencja symulująca wojnę nuklearną. Nie pamiętam, ile miałem lat, gdy widziałem film.

Miałem 3 lata w momencie katastrofy w Czarnobylu, więc pytanie o wiarygodność wspomnień byłoby nie od rzeczy. Pamiętam (wydaje mi się, że pamiętam) picie płynu Lugola. Pamiętam (wydaje mi się, że pamiętam) wyglądanie przez okno i rozczarowanie, że radioaktywnej chmury nic a nic nie widać, że nie przetacza się nad Polską w asyście archanielskich trąb.

Dzisiaj wiemy, że *Piosenka o końcu świata* Miłosza z 1945 roku to wiersz nie tyle komentujący ledwie zakończoną wojnę, ile wiersz proroczy (albo inaczej: jest proroczy nie ponieważ przebija zasłonę bytu, ale ponieważ taki się retroaktywnie okazał). Kiedy zimnowojenny świat czekał błyskawic i gromów i grzybów atomowych i promieniotwórczego skażenia terenu i zimy nuklearnej, apokalipsa już się wydarzała. Ci, którzy czekali znaków i przesuwali wskazówki na Zegarze Zagłady na za siedem północ, za dwanaście, za dziesięć (dzisiaj podobno zostało nam 100

sekund), nie wierzyli, że zagłada stała się już. Nikt nie wierzy, że stała się już, że katastrofa znanego nam świata, katastrofa klimatyczna, jest już.

Powiadomienie z wczoraj: powódzenie w Kalifornii przyniosło już 17 ofiar oraz ponad 30 miliardów dolarów w zniszczeniach i skutkach ekonomicznych. Powiadomienie z przedwczoraj: żniwo powodzi w Pakistanie w drugiej połowie 2022 roku to prawie 2 tysiące ofiar i 15 miliardów dolarów w samych zniszczeniach. Powiadomienie z 1 stycznia: styczniowy rekord ciepła w Polsce pobity.

1 stycznia poszedłem pobiegać – w krótkim rękawku i spodenkach lekkoatletycznych. Było 16°C. W latach 1991-2020 średnia temperatura w Polsce wynosiła w styczniu -1,1°C.

Klimatyczny koniec świata czeka wkrótce Poland. Poland to wieś w Republice Kiribati na Oceanie Spokojnym. Do 2050 Poland oraz reszta Kiribati zostanie zalane przez wody oceanu. Dosłownie zniknie z powierzchni ziemi.

Katastrofa klimatyczna to doświadczenie braku gwarancji miejsca na skalę planetarną.

== | | == τοποί κοινοί == | | ==

Muszę uważać, bo brak gwarancji miejsca sam może stać się miejscem, schematem zbyt szybko poddającym się gestowi łatwego wypełnienia. Czy nie ma czasem wśród piszących aż nadto prędkiej zgody na to, że jesteśmy inherentnie bezdomni? Że literatura ~~~

~~~ {to} przewodnik dla bezdomnych niezależnie od miejsca zamieszkania. {Gdy jeden poeta pisze} jesień już Panie a ja nie mam domu {drugi mu dopowiada:} kto teraz nie ma domu, nigdy mieć nie będzie. {Czyż nie po to czytamy i piszemy wiersze} odrzucając wszak wszystko i wybierając poezję jako miejsce na ziemi jako miejsce na ziemi dane od Boga {ponieważ zadajemy pytanie} czy prawdziwy poeta na pewno zajmuje jakieś miejsce? Czy nie jest aby tym, kto w doniosłym sensie tego słowa *swoje miejsce traci*, przestaje je zajmować i staje się samą otwartością przestrzeni? {Paradoks na paradoksie, ponieważ tak odsłania się} rzeczywistość, która do czasu wydaje się bardziej prawdziwa, a już z pewnością bardziej warta zamieszkania, niż „prawdziwy świat”.

{Moją reakcją jest zatem rozpoznanie, że} jestem wetknięty, przypisany do miejsca (intelektualnego), do kastowej (jeśli nie klasowej) siedziby. Na co odpowiedzią może być tylko jedna wewnętrzna doktryna: doktryna atopii (dryfującego pomieszkiwania). {Wraz z atrakcyjnością słowa „dryf” pojawia się ryzyko łatwości zatem} winieniem zdecydowanie



przerwać dryfowanie czy też ześlizgiwanie się. I zrobiłbym to, gdyby tylko było to możliwe.

~~~

~~~ jest nieustannym ześlizgiwaniem się: z sensu, z siebie, ze stabilności *ego*. Literatura właśnie dlatego nie pozwala na przerwanie dryfowania, ponieważ dokonuje rozsunięcia pomiędzy tym, co literalne a literackie. Czyż brak gwarancji miejsca nie jest również wynikiem mojej formacji? Obszerne wtrącenie pomiędzy znakami „~” nanizane jest z zafastrygowanych tylko (ale nie zniekształconych) cytatów. W kolejności alfabetycznej (żeby nie narzucać *z miejsca* innego uporządkowania): Roland Barthes piszący o sobie w trzeciej osobie (w przekładzie Tomasza Swobody), Jacques Derrida, Emmanuel Lévinas (w przekładzie Janusza Margańskiego), J. Hillis Miller, Reiner Maria Rilke (w przekładzie Tomasza Jastruna), Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki (urodzony wszak na polsko-ukraińskim pograniczu, deklarujący jako pierwszy język nieistniejącą w wariacie pisanym gwara chachłacką).

U nich i wielu innych terminowałem, od nich i wielu innych czerpałem przekonanie o inherentnej bezdomności – że taka jest natura języka, literatury, że można niebagatelną dawkę idei dobrze pomieścić w tym poczuciu niepomieszczalności. Nawet jeśli część z tych nazwisk jest już niemodna, nawet jeśli ich *miejsce* zajmują pisarze, *sytnujący się* bardzo często w kontrze do tych przywołanych, nie zmienię faktu, że współtworzyli oni moją formację intelektualną.

Mógłbym stwierdzić, że nie chcę zbyt szybko przyjmować ich tez.

Mógłbym stwierdzić, że nie jestem w stanie nie przyjmować. Ale czy to wszystko wyjaśnia? Czy wystarczy ujawnić sześć nazwisk z tych, które równie dobrze mogłyby pozostać sekretne, odsłonić sześć kart z pozakrywanej talii, aby poznać układ wszystkich pozostałych? Może tak. A być może odpowiedzi trzeba mi szukać w jeszcze innym języku.

Przed Kolinem płot  
pastwiska dla krów  
zrobiony jest ze  
starych opon.

Trwają w bezruchu.

== | == *κοσμος* == | ==

Raz jeszcze: dlaczego?

Dlaczego zdecydowałem się pisać właśnie o miejscu?

I dlaczego tak? Dlaczego o jego prekarności?

Jakie jest moje usytuowanie?

Przecież na odpowiednim poziomie ogólności albo metaforyzacji mógłbym powiedzieć i napisać cokolwiek. Każdy bon mot jest tak samo wyjaśniający wszystko, co i nic.

Ćwiczenie z topotożsamości: przeczytaj głośno poniższe frazy z lewej kolumny, a następnie za pomocą linii połącz je (długopisem!) z przymiotnikami z kolumny prawej. Bądź przygotowany do uzasadnienia swoich wyborów.

- |                                                             |                |
|-------------------------------------------------------------|----------------|
| a) Tam dom twój, gdzie serce twoje.                         | 1) prawdziwe   |
| b) W domu ojca mego jest mieszkań wiele.                    | 2) fałszywe    |
| c) Życie jest gdzie indziej.                                | 3) wzniosłe    |
| d) Brak gwarancji miejsca.                                  | 4) banalne     |
| e) Dom to coś, na co jakimś cudem<br>nie musiałeś zasłużyć. | 5) inspirujące |
| f) Dom to skóra wzruszenia.                                 | 6) zwodnicze   |

A teraz połącz wiersze kolumny lewej z wierszami kolumny prawej przy pomocy rzutów

Gęsty tłusty dym w  
kominie domu  
odsuwającego się w  
zawstydzaniu od torów.  
Miejscami aż żółty.

Jak morski szlam.

Zwróciłbym na niego  
uwagę nawet gdyby  
stacja nie nazywała się  
Szczecin Zdunowo.

kością do gry w chińczyka. Teraz już wiesz, że wybór zawężono do sześciu możliwości tylko dla twojej wygody, aby jedna ścianka kości odpowiadała jednemu z przymiotników. Jeśli nie dysponujesz kością do gry, możesz posłużyć się monetą. Myślisz, że nie dasz rady zrobić losowania z sześciu przymiotników tylko przy pomocy jednej monety? Nie martw się, dasz. Myślisz, że będziesz rzucał cały wieczór? Nie martw się, jest prosta odpowiedź: wystarczy ci dziesięć rzutów<sup>2</sup>. Jeśli masz szczęście, to wystarczy pięć rzutów kością albo dziesięć rzutów monetą – tak tak, pięć dla kostki, bo wybór

<sup>2</sup> Oczywiście jest też odpowiedź nieprosta, skoro już musisz odpowiedzieć na zew argumentacji, dlaczego akurat dziesięć rzutów monetą. W 75% przypadków, aby uzyskać wynik z zakresu 1-6 wystarczy 3 rzuty (3 rzuty dają wynik z zakresu 1-8, 25% to wyniki 7 i 8). Nie musisz jednak rzucać cały wieczór, osiemnaście (6\*3) ani nawet piętnaście razy ((6-1)\*3; wybór najmłodszego w szeregu jest zawsze ustalany przez losy poprzedników). Jeśli wynotować i ponumerować wszystkie permutacje – jest ich 720 (bo 6!=720) pierwsza niech ma numer 0, ostatnia 719 – a wynik rzutu monetą potraktować jako reprezentację indeksu permutacji w systemie dwójkowym (orzec to 1, reszka 0), to, o ile będziesz mieć szczęście, wystarczy ci dziesięć rzutów (bo  $\log_2(6!) \approx 9,49$  albo prościej: 719 w systemie dwójkowym to 1011001111, które ma 10 cyfr). Co to znaczy szczęście? 10 rzutów to 1024 możliwych wyników, każdy wynik powyżej 719 sprawi, że będziesz musiał

najmłodszego w szeregu i tak będzie ustalany przez losy poprzedników, a choć zrazu tego nie widać, decyzje losowe bywają dużo prostsze, niż by się wydawało (→ o przypadku). Niezależnie od wybranej metody losowania wyniki połącz długopisem innego koloru. Czy umiesz uzasadnić swoje nowe odpowiedzi? Oczywiście że umiesz. Jesteś generatorem wnioskowań, *animal rationale*, zwierzęciem scholastycznym, ogarem Pawłowa śliniącym się na zew argumentacji.

Jeśli tak jest, a wiesz, że tak jest, że każda fraza może być frazesem, znaczyć wszystko i nic, to dlaczego upierasz się przy tej jednej z nich, przy braku gwarancji miejsca? Mógłbyś napisać cokolwiek. A potem coś zupełnie przeciwnego. Hasła „Wolność, Tomku, w swoim domku” i „Gość w dom, Bóg w dom” są sprzeczne (pierwszy proklamuje autokrację, drugi – bezwarunkową uległość), ale mogą obowiązywać jednocześnie. Żeby całe twoje pisanie miało sens inny niż ćwiczenie dialektyczne, musisz wreszcie przyjąć i przyznać, że (każda) interpretacja (świata) jest (ukrytą) (auto)biografią.

== || == πολς == || ==

Zdarzało się, że podróżowałem do innych miast i krajów, a pobyty w nich czasami liczyłem miesiącami (Kantem już nie zostanę) (nie żebym chciał). O żadnym z tamtych mieszkań nie myślałem jako o domu. Paryż, Ann Arbor, Thessaloniki, Uppsala nie są moimi miastami. Moim miastem jest Poznań – mieszkam w nim przynajmniej od pięciu pokoleń.

„Miasto”, „miejsce”, „mieścić się” mają to samo prasłowiańskie źródło *\*mĕsto*, miejsce. Etymologowie twierdzą, że w XVI wieku ówczesna forma *mieście* znaczyła nie tylko miejsce i nie tylko gospodarstwo albo posadę; *mieście* to również błony płodowe i łożysko. Miasto-miejsce to przenikające się porządki topograficzny, ekonomiczny (gospodarstwo, posada) i reprodukcyjny (błony płodowe, łożysko). Mieszcę się w mieście i miasto mieści mnie jak błony płodowe.

---

powtórzyć losowanie. Zatem twoje szanse, że jednak nie będziesz musiał powtarzać losowania wynoszą dokładnie 70,3125%<sup>a</sup>. Właśnie to znaczy szczęście.

<sup>a)</sup> I fakt, że policzenie tego 70,3125 daje ten rodzaj szczęścia, którego nie może ci przynieść najlepsze pisanie<sup>b</sup>, sprawia, że *będziesz wciąż pytał siebie, czy jesteś na właściwym miejscu*.

<sup>b)</sup> 70,3125 będzie takie też jutro. Jest niezmiennie. Jest konkluzywne. Pisanie zaraz każe spytać, kto niby miałby wynotować te wszystkie permutacje i skoro mamy wystarczającą ilość papieru, aby zrobić listę 720 możliwych wersji, w jakie da się połączyć 6 fraz z 6 przymiotnikami, to czy nie prościej przygotować 6 karteczek do rozlosowania? A przecież właśnie nie o to chodzi.

Poznań. Jestem z tych blon. Tu się urodziłem. Tu mieszkam od przynajmniej pięciu pokoleń. Mieszkam w Poznaniu zapewne już jako dziadek mojego dziadka z linii matki. Na pewno mieszkam jako jego syn. I mieszkam dalej – w kolejnych wędrówkach i wariacjach czterech zasad azotowych z podwójnej helisy. „Zapewne”, „na pewno” – miejsce na skali pewności wyznaczone jest miejscami, w których dokumenty spłonęły, zostały zniszczone albo zgubione. Ale jeśli słowo rzeczywistość ma mieć jakiś sens, to mieszkam w Poznaniu przynajmniej od pięciu pokoleń.

== | | == νοστος == | | ==

Ba! Więcej nawet. Moje adresy zmieniały się wielokrotnie, ale dzisiaj mieszkam jako pradziad i jako jego prawnuk w tym samym budynku.

Trzykondygnacyjna kamienica czynszowa wygląda niepozornie w porównaniu do okolicznych towarzyszek, które – choć również pochodzą z początków XX wieku – dumnie prężą po cztery kondygnacje. Czy o jej mieszkańcach mówiło się ci-z-tej-niskiej? Nie wiem.

Wiem, że w rodzinie o pradziadku mówiło się dziadek-Józek-od-trafiki. W każdej szczęśliwej rodzinie są takie skrypty. W tych nieszczęśliwych też. Babcia Lusia. Ta z pierniczkami? Tak, ta co przyniosła kiedyś pierniczki. Więc: babcia-Lusia-z-pierniczkami (potem, gdy ktoś próbuje znaleźć jej grób po tygodniu poszukiwań dowiaduje się, że Lusia to Helena). Czasem to postaci półmityczne, które zna się tylko z ich etykiet: wujek-Zdzichu-co-miał-wyjechać-do-Indii („I co?” „No nic. Nie wyjechał”). I tak dalej: Michał-co-zwariował, Julia-co-uciekła-z-rosyjskim-oficerem, brat-Julii-jak-mu-było-Michał („Ten, co zwariował?” „Nie. Inny”), córka-Michała (Którego z tych dwóch?), brata-szwagra-kochanki-koleżanki-syna-siostry-koń-lub-słoń. Ja mam prosto: pradziad, którym jestem jako jego prawnuk, to dziadek-Józek-od-trafiki, bo miał kolekturę loterii państwowej i sklep z tytoniem w centrum miasta. Ot, *petit bourgeois*.

Śpiewaj Mnemosyne, że gdy kolega P. włamał się do mieszkania sąsiadów, wtargnął w sumie do domostwa, w którym mieszkam jako pradziadek z rodziną. Historia zna wielu podobnych do P.: postanawia życie swe odmienić, więc nie ma dla niego miejsca w dawnym miejscu, adres zamieszkania to wynik zamieszania, czyli Waletowo Przygodne. Ja wyjeżdżam i opuszczam na jakiś czas mieszkanie, P. wprowadza się, aby przejąć opiekę nad zwierzętami (sytuacja typu *win-win*) i jednego z pierwszych wieczorów niezbyt trzeźwy (ponieważ gdy chcemy odmienić życie, sięgamy wpierw po sprawdzone sposoby) długo zмага się z drzwiami. Budzi go awantura, a kaca nie

łagodzą krzyki, że policja, policjanci, policyjne, bo... znajduje się w mieszkaniu o piętro niżej niż planował. Będzie z tego dobra anegdota (choć koty głodne), prawnuk zwątpi w certyfikaty zamków (najwidoczniej nie ma testów z udziałem zdeterminowanego nietrzeźwego, co bardzo chce spać), a pradziad pomyśli, że to raczej nie pierwszy raz, jak ktoś forsuje nocą drzwi właśnie tego mieszkania. Wielu będzie miało podobne historie. Człowiek się może nieźle wystraszyć i dostać zawału nawet.

Śpiewaj Mnemosyne, bo tylko ty wiesz, że chłód zimą i całoroczny mrok w mieszkaniu jakoś mniej mi przeszkadzają, gdy jestem pradziadkiem. A raczej, gdy jestem pradziadkiem, wtedy nie ma wrażenia ani chłodu, ani mroku. Przecież po to zdun dostał zapłatę z górką, żeby w jednym chociaż pokoju nie parł byle jak do zasklepienia tylko starannie kierunkował spaliny i gdyby kto zechciał, dało się fest nahajcować, aż wreszcie będzie nawet bardziej niż znośnie. Dzielnica robotnicza, to o fachurę nietrudno. A że dobrze robił, to koniec jego zmiany wyznaczał spracowany zachód słońca, ślamazarnie sącząc się przez kryształowe pierze mrozu na szybie. Nie ma na to sposobu, jak tłumaczył: to co piec potrafi ciepła przydać, szyba umie odjąć. Dobrze, że największy pokój ma jedno okno nieduże. Raz tylko zrobiło się straszno, gdy puszysty szelest żaru niedobrze upuszczony zaczął pełzać po sosnowej podłodze; ale w porę zwrócił uwagę, zanim się ciepło zrobiło tak, że aż tchu by brakło.


Śpiewaj Mnemosyne, że gdy po raz kolejny przytrę samochód o ścianę kamienicy, zamiast kłać mógłbym spojrzeć okiem pradziadka, wrzucić ramionami i pomyśleć, że wjazd tam w głąb, do ogrodu i stajni, nigdy nie wydawał mi się zbyt ciasny. Z rzadka przez niego przejeżdżam co prawda, przecież nikt nie będzie jeździł do pracy, do której kwadrans *per pedes*. A praca? Praca jak praca. Tylko spod dopinanych mankietów wszędzie sypią się tytoniowe brązy okruszków jakby w jakiejś kupieckiej wersji *Hänsel und Gretel* się występowało. A samą koszulę, to by najlepiej poza domem było trzymać, tak przesycona zaferowanymi kłębamii berylowego dymu. W kolekturze

ścisk bywa, schodzą się dżentelmeni i sprzedawcy ryb w drodze z targu, kupcy bławatni i sukiennicy, a każdy los kupi, jeszcze coś z asortymentu i rozplotkowany kurzy pod nosem.

Śpiewaj. Śpiewaj i tańcz. Bo najlepsza część naszej pamięci jest poza nami, w dżdżystym podmuchu sukni.

Kolektura Lot. Państw.  
nr. 1290

**J. Hoffmann**  
Poznań, św. Marcin 61  
Telefon 50-82



**SPECJALNY MAGAZYN  
WYROBÓW TYTONIOWYCH**

poleca:  
**PAPIEROSY ↔ CYGARA  
TYTONIE  
WIELKI WYBÓR FAJEK  
oraz KART DO GRY.**

Ta kamienica nie jest moim domem dzieciństwa, ale jest... no właśnie jaka? Jak opisywać relację międzypokoleniową, której jedynym spoiwem jest miejsce? Czy związek ten należy abstrahować czy też abstrahować od niego? Relacji z Mnemosyne przyporządkuj jeden z sześciu przymiotników z poprzedniego zadania. Jaką metodę wybierzesz? Introspekcji czy aleatoryczną?

Żeby pisanie miało sens inny niż ćwiczenie dialektyczne, muszę wreszcie przyjąć i przyznać, że (każda) interpretacja (świata) jest (ukryta) (auto)biografią.

== || == στροφή == || ==

Miałem około trzydziestu lat, gdy ktoś wspomniał o Józefie-co-zginął-w-Auschwitz. Skrót myślowy. Taki sam jak dziadek-Józek-od-trafiki. Ot tak. Przy zupie. Chlapnęło się.

Nie od razu połączyłem kropki w kontur, cień tej samej postaci.

Józef Hoffmann, pradziad, którym jestem jako jego prawnuk, został zamordowany w Auschwitz około 27 października 1942 roku. Taka data widnieje na zachowanym akcie zgonu wystawionym przez gestapo – obozowe, choć nie ma nigdzie wzmianki o obozie, a jako *miejsce zgonu* podane jest miasto i tylko Kasernestrasse, ulica Koszarowa. *Ordnung muss sein*, więc jest nawet wymyślona godzina śmierci: szósta wieczorem (i 25 minut). W tych samych dokumentach przed nazwiskiem widnieje *der Kaufmann*, kupiec. Oficjalna przyczyna zgonu: *Myocerdinsufizienz*, niewydolność mięśnia sercowego.

Akt zgonu to jedyny ślad, że był więźniem w Auschwitz. Nie figuruje na listach transportowych. Nie znam jego numeru obozowego.

Gdy byłem dzieckiem, w moim domu nie mówiło się o zbrodniach nazistów. Nie trzeba mieć wykształcenia psychologicznego, aby zrozumieć, dlaczego. Ale odrobina wyobraźni pozwala przewidzieć zupełnie inny scenariusz.

Daję sobie osiem godzin, aby przejrzeć wydruk i zamknąć wreszcie te fragmenty (o) braku gwarancji miejsca. Jadę zatem do Szczecina R 78303 (wyjazd o 9<sup>24</sup>), a po trzech godzinach spędzonych na miejscu wracam R 78303 (wyjazd 16<sup>35+5</sup>). I nie jest tak, że jedyne skojarzenie, jakie mam z pociągami to bydlęce wagony pełne porąbanych ludzi (wręcz przeciwnie). Ale odrobina wyobraźni mówi, że mogłoby tak być.

Czy to te same odrobiny wyobraźni od których rozpoczyna się pisanie? Czy to te same odrobiny wyobraźni, które determinują, o czym piszemy? Może ostatecznie wybór najmłodszego w szeregu i tak będzie ustalany przez losy poprzedników, a choć zrazu tego nie widać, decyzje losowe bywają dużo prostsze, niż by się wydawało?

---

Indeks *miejsc*:

|                  |                                        |
|------------------|----------------------------------------|
| Auschwitz        | 50.03469069013901, 19.18087295569383   |
| Bierzwnik        | 53.02449243230289, 15.657690636893436  |
| Gdańsk           | 54.41020705650019, 18.666995185142245  |
| Mokrz            | 52.75089131123648, 16.281535932142642  |
| Poznań           | 52.3968809391407, 16.921830780069133   |
| Rębusz           | 53.057366739058416, 15.603347446125076 |
| Słonice          | 53.091081956702155, 15.518790907364766 |
| Stary Klukom     | 53.13301695431273, 15.453946057097214  |
| Szczecin         | 53.426459786745106, 14.56849334045232  |
| Szczecin Zdunowo | 53.382932169322146, 14.765866686480408 |
| Świecie          | 53.41296025378413, 18.457982515282577  |